

ZOFIA ROMANOWICZOWA

# SZKLANA KULA



Historię Haliny zacząć można od początku, od środka lub od końca, jak każdą historię. W którym miejscu, w którym momencie da się najlepiej uchwycić ów kształt, w jaki zakrzepło niedługie jej życie?

Widziałam kiedyś chłopca, który narysował jednego z Trzech Króli, zaczynając od paznokcia bosej, czarnej stopy. Z tego wykwitły pierścienie na palcach nóg, potem płaszcz, turban, broda i szkatuła z darami. I wielbłąd, którego Baltazar trzymał za uździenicę.

To był król z Epifanii, uchwycony w geście, który go stwarza i zarazem reasumuje. Pokłon i dar – po tych atrybutach każdy go rozpozna. Reszta jego życia, przedtem i potem, gdyby ją chciało dopowiedzieć czy dorysować, musiałaby ułożyć się koncentrycznie wokół tej sceny, przygotowywać ją lub z niej wynikać.

Tylko, właściwie, czy konieczne jest przedtem i potem króla Baltazara? Ledwo wstał z kłęczek, ledwo

dosiadł z powrotem wielbłąda, już go wchłania drgająca niepewność czasu. Wynurzył się z pustyni i znowu w nią zapada. Można by towarzyszyć mu na własne ryzyko, szukać jego śladów na piasku. Ale po co, skoro wiadomo o nim najważniejsze. Czy od paznokcia stopy zacząć czy od korony, jego postać umowna jak litera alfabetu, wszystkim zrozumiała, sama z siebie skłania się ku swej zasadniczej pozie.

Ale Halina? Nawet jeżeli przyjąć, że dar, że ofiara były gestem centralnym, gestem zwrotnym jej życia – stąd bardzo zuchwała w swym braku proporcjonalności analogia z osobą króla i maga – cóż o niej kto wiedzieć może, zanim ja nie spróbuję opowiedzieć jej historii od początku do końca? Skąd pewność, że ta historia ma swój własny kształt, linię, do której gdy się raz dopracuje którąś kolejną próbą, którymś domysłem, cała reszta okaże się zbyteczna? Tymczasem sypka jest jak piasek, gdy w niej przebieram palcami, gdy ją drążę, z rzadka natrafiam na grudkę jakąś, korzeń, łupinę, a i te strawione i zetlałe, jakby czas ze szczególną usilnością starał się przywrócić ją pierwotnej nieforemności.

Tym trudniej mi, że historia ta z konieczności swej składać się musi z elementów bardzo rozmaitych, może sprzecznych, o których nie wiem wcale teraz, gdy trzymam ołówek w dłoni i zataczam nim niezdecydowane koła w powietrzu, nad białą kartką papieru, czy uda mi się połączyć je w całość pełną i kulistą, stworzyć

z nich czy raczej odtworzyć prawdziwy świat Haliny? Rozsypuje mi się on na razie w myślach i w palcach.

Z tego krnąbrnego piasku cóż może wyjść podobnego? Nie historia, zaledwie propozycja. Zaledwie wersja, moja własna, zaledwie moja własna nadzieja, cała oparta na jej ostatnim, szczęśliwym uśmiechu.

Od tego uśmiechu mam pokusę zacząć. Czyli, pozor- nie, zaczęłabym od końca.

Nikogo nie było przy tym, kiedy Halina otworzyła oczy. Była sama w pokoju zalanym kwaśnym, zielon- kawym światłem nieokreślonej pory, na pograniczu zmierzchu albo świtu. Poprzez oczka poźółkłych, szy- dełkowych firanek, poprzez podwójne szyby zaklejone plastrami bibuły na krzyż, wnikało ono w puste prze- strzenie, ślizgając się po materialnej wypukłości przedmiotów. Meble wypełniały pokój aż po sufit, był nie to że zastawiony, był nimi zabudowany. Wysiedlone z kolejnych domów Haliny, spiętrzone jedne na dru- gich, podopasowywane, powbijane w siebie na siłę, zrosły się w jedną rzecz, w jeden mebel niewiadomego użytku o dziesiątkach brzuchów, blatów, poręczy, nóg, mebel z pokładu arki Noego. Koło kaflowego pieca fikus rozczapierzał sflaczałe swe łapy. Szyby dzwoniły lekko, jakby ktoś sypał w nie garściami szklany piach, i gdzieś pod sufitem brzęczała zmartwychwstała nie wiadomo dlaczego mucha.

– To nieprawda – powiedziała Halina prawie na głos i otworzyła oczy.

Nad futryną okna ściana majaczyła słabo – cała, bez pęknięcia, bez skazy. Nigdy więc nie przebiegła tędy błyskawica, nigdy nie pękał i nie trzeszczał dom, rozgniatany w palcach olbrzyma.

Jakie szczęście, że to nie była prawda. Nic nie było prawdą z tego, co otaczało ją tak ściśle i tak nieustępliwie. Łóżko na samym spodzie, w samym jądrze tej drewnianej rzeczy także nie było prawdą, ani ciało, jego kształt wyżłobiony w wilgotnym sienniku, ani pot, ani bezwład tego ciała. Z prześcieradeł, bandaży, z bólu i odleżyn, z samej siebie Halina wysuwała się oto jednym śliskim ruchem narodzin z zadziwiajączą łatwością.

Ulga, wdzięczna, szczęśliwa ulga przeniknęła ją na skroś. To wszystko nie było prawdą. To jej się здаwało, śniło, ale cóż pozostaje ze snu? Jeszcze moment, a jego fikcyjne, złudne trwanie będzie rzeczą do reszty odjętą i przekreśloną. Fizyczne uczucie błogości, lekkość, radość wypełniły ją ustokrotnionymi możliwościami. Mogła chodzić, skakać, biegać, mogłaby fruwać, gdyby zechciała.

Rozpostarła ramiona zuchwałym gestem. W tym momencie palce jej wykonały ledwo dostrzegalny ruch na kołdrze, ale cóż było prawdą? Naprawdę ramiona jej otwierały się posłusznie, prostowała głowę, plecy ze spokojną pewnością kontroli nad mięśniami. Powietrze wypełniło jej płuca, musując. To był pierwszy oddech nareszcie prawdziwego życia.

Mogła, wszystko mogła. Z owalnego okienka na strychu nad oborą wychylała się, smakując miły zawrót głowy. Liście lipy połyskiwały w dole przeczesywane przez wiatr. To było takie proste, zechcieć i zsunąć się, zakołować i zawrócić. Białe gołębie wzbijały się stadkami, furkocząc.

To było tylko zabawą, dziecinnym, czczym zachcieniem i Halina wiedziała, że coś więcej, coś lepszego ją czeka. Ale nie było pośpiechu. Ta chwila miała wakacyjną niewymierność czasu. Miała go, ów czas, dowolny i niepodzielony, posiadała go w całości, naprzód i wstecz, jeszcze jeden atrybut wyzwolonego z koszmaru ciała. Wiedziała, że czegokolwiek tknie, zaraz grymas złego snu zsunie się z rzeczy i powrócą do niezakłóconej jawy.

Tymczasem w samym progu przebudzenia Halina ślizgała się w powietrzu, leżąc na wznak, z niefrasobliwym zapamiętaniem dziecka, które wie, że jest kochane.

Kiedyś, gdy była tak mała, że nawet wspinając się na palce, nie mogła dosięgnąć krawędzi babczynej komody, dawano jej czasem do ręki w nagrodę za grzeczność szklaną kulę, która tam leżała niedostępna, podważając się w lustrze. Kula, ciężka i zimna jak bryła lodu, swym przezroczystym sklepieniem obejmowała osobny świat. Był tam domek wielkości ziarnka grochu pokryty makiem czerwonej dachówki, z oknem ozdobionym płatkami firanki. Nad gankiem wisiała